Świat powieściowy.

Pismo tygodniowe belletrystyczne.

Wychodzi we Lwowie w każdą niedzielę.
Administracja: ulica Grodzickich l. 4.
w drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nr. 42.

dnia 18. Września 1881.

Prenumerata wynosi wraz z przesyłką pocztową:
kwartalnie . . . 2 zł.
półrocznie . . . 4 zł.
rocznie . . . . 8 zł.

ZDRAJCA.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA W DWÓCH TOMACH

przez Autora „*Marzycieli*“

TOM II.

(Ciąg dalszy).

W cztery dopiero miesiące po wydrukowaniu w łamach *Teraźniejszości* oszczerczego artykułu, dowiedział się nasz przyjaciel, że za dni kilka odbędzie się rozprawa ostateczna. Usłyszawszy to, swobodniej odetchnął. Przez cztery miesiące cierpiał w cichości, Żylewicz zaś korzystał z tego czasu, by na swój sposób opinję publiczną przeciw niemu podburzać. Teraz miało się nareszcie wszystko skończyć.

Przeświadczony o zupełnej swojej niewinności nie szukał świadków odwodowych, ani się z adwokatami naradzał. Wprawdzie Zygmunt Grabowski, który go w tym czasie dwa razy odwidzał, mówił mu, żeby nie był tak pewnym siebie, w Austrji bowiem dzieją się różne rzeczy, on jednak na to tak odpowiedział:

— Wszak nie ja jestem oskarzony, tylko Żylewicz. Niech zatem on świadków zbiera i to udowadnia co mi zarzuca.

— Rób jak uważasz — odparł Starosta — lecz ja bym ci zawsze radził mieć się na baczności.

Ryszard pewny siebie, nie przedsięwziął nic celem udowodnienia swojej nieskazitelności i w dniu rozprawy sam jeden poszedł do sądu.

Tu w izbie pobocznej, która przytykała do głównej sali rozpraw, zastał trybunał, złożony z czterech radców, kilkadziesięciu przysięgłych, Żylewicza i jego obrońcę.

Zaczęło się losowanie 12 przysięgłych a że wszystkich było 36 prócz zastępców, więc każdy z przeciwników mógł 12 usunąć. Obrońca Żylewicza wyrzucał ludzi intelligentnych, Ryszard głównie żydów, których mógł się słusznie obawiać. Po skończonem losowaniu okazało się, że ława składała się z samych przedmieszczan, ludzi spokojnych i pracowitych, lecz nie mających jasnego wyobrażenia, co honor znaczy. I ci ludzie mieli wydać wyrok w sprawie tak drażliwej, jak obraza honoru. Ryszard na nich spojrzawszy, aż zadrzał w duchu. Przeciwnie Żylewicz złośliwie się uśmiechał.

Na znak dany przez przewodniczącego, wszyscy weszli do głównej sali rozpraw.

Tu usiadł Trybunał na podwyższeniu; po lewej jego stronie, na miejscu państwowego prokuratora, jako oskarżyciel prywatny, Ryszard Gozdawa; po prawej w dwóch rzędach ławek sędziowie przysięgli; na przeciw trybunału, na ławie oskarżonych, Walery Żylewicz, a poniżej Gozdawy, obrońca oskarżonego.

Przewodniczący skinął, poczem nasz przyjaciel głosem spokojnym i dobitnym, odczytał akt oskarzenia. Gdy skończył, przewodniczący wybadawszy wpierw Żylewicza, jak niegdyś on Wojtusia, gdzie się urodził, ile ma lat i dzieci, jakiej jest religji i czem się zajmuje, wezwał go następnie, by się usprawiedliwił z zarzutów, czynionych mu w akcie oskarżenia.

Żylewicz kilka kroków naprzód postąpił i w te słowa przemówił:

— Myli się pan Gozdawa utrzymując, że rzucałem na niego podejrzenie, jakoby był szpiegiem, człowiekiem niemoralnym, i jakoby struł dla pieniędzy ową kobietę, niewiadomego nazwiska, która mieszkała w Ekonomówce pod Wolą Luda-

czowską, a którą on leczył. Ja tego wcale nie powiedziałem... Jam tylko napisał, że ludzie tak mówią, i tych ludzi wiarogodnych wezwałem tu na świadków... Od nich wysoki sąd dowie się czym skłamał i rozmyślnie pana Gozdawę oczernił... A zresztą — dodał, ku przysięgłym się obracając — jakże nie miałem pisać, skoro wszystko zdaje się świadczyć przeciw panu Gozdawie... Wiadomo całemu światu, że Gozdawici stracili majątek do grosza, a tu ni z tąd ni z owąd zjawia się jeden jej członek i zakłada gazetę z drukarnią, na co u nas potrzeba niemało pieniędzy, żyje wystawnie, trzyma sobie lokaja, chociaż nas, starych dziennikarzy, na to nie stać, słowem gra rolę pana. Ludzie utrzymują, że owa Krystyna, którą pan Gozdawa leczył, jak się to często u starych kobiet zdarza, miała w poduszce zaszytą znaczną gotówkę... Zresztą, alboż ja wiem?!

To powiedziawszy usiadł. Słowa: „albož ja wiem“, wypowiedziane niby obojętnie, zrobiły potężne wrażenie. Sędziowie przysięgli spojrzeli po sobie; audytorjum, które coraz więcej napełniało się ciekawą publicznością, poczęło szemrać, a Ryszard drgnął jakby go żmyja ukąsiła. Przewodniczący zwrócił się doń, pytając:

— Cóż pan na to?

— Nic. Niech pan Żylewicz udowodnia.

Zaczęto świadków przesłuchiwać. Tych było trzech. Moszko Silbergleit, znany arendarz ze Starejwsi, jakiś leśniczy z klucza ludaczowskiego. którego Ryszard w życiu swojem nie widział i Henryk Dobrzyński. Pierwsi dwaj zeznali tak samo jak Żylewicz Wiadomości pewnych żaden z nich nie miał, lecz tak jeden jak drugi słyszał, że umarła gdzieś jakaś kobieta, która miała mieć pieniądze i że tę kobiętę leczył pan Ryszard Gozdawa. Dowodów nie było więc żadnych, ale podejrzenie zawsze było...

Naszemu przyjacielowi coraz ciemniej w oczach się robiło. Widział, jak ludzie występowali, słyszał jak go czernili, a nie mógł im tego zabronić, musiał słuchać! Na świecie nikt sobie większej męczarni nie wyobrazi. Tymczasem gawiedź w audytorjum robiła uwagę, że musi być winnym, skoro tak często zmienia się na twarzy, i to czerwienieje, to bledniejo... Między sędziami przysięgłymi jedna połowa zdawała się słuchać, druga drzymała.

Wszedł Henryk Dobrzyński z głową pochyloną, jakby spojrzeń unikał. Ryszard nie widział go od czasów niepamiętnych, od dnia gdy go do kładki odprowadzał. Na zgromadzeniu przedwyborczem ani go słyszał, ani widział w chaosie. Nie dziwił się, że i jego miał między swymi nieprzyjaciółmi, w ostatnich bowiem czasach cały świat miał przeciw sobie. Prócz tego przypuszczał, że Stern zmusił go do świadectwa nieprzyjaźnego. Czekał więc co nastąpi.

Garbus odpowiedziawszy na pierwsze pytania, dopiero wtedy spojrzał na Ryszarda, gdy usłyszał głos przewodniczącego:

— Czy świadek zna pana Gozdawę?

Ryszard przypatrywał mu się spokojnie, z gorzkim uśmiechem na ustach.

— Znam — cicho odrzekł.

— Nie jesteś pan z nim spokrewniony?

— Nie.

— Nie masz pan do niego złości albo żalu?

Zapytany zwlekał odpowiedź. Przewodniczący dobitniej swoje słowa powtórzył. Garbus spojrzał znowu na Gozdawę i naraz, jakby nowy duch w niego wstąpił, śmiało odrzekł:

— Nie!

— Jeźli tak, więc opowiedz nam pan, co wiesz o śmierci owej kobiety, która nagle miała umrzeć w Ekonomówce pod Wolą Ludaczowską.

— Bliższych szczegółów nie znam... Słyszałem tylko, że dla tego miała nagle umrzeć, iż dziewczyna, która przy niej była, pomieszawszy lekarstwa, dała jej to zażyć, czem miała ją nacierać. Więcej nie wiem.

W sali powstał szmer między słuchaczami. Jakkolwiek zeznania świadka nie były roztrzygające, i on bowiem sprawy nie znał dokładnie, zawsze rzucały na nią nowe światło i w wysokim stopniu Żylewiczowi szkodziły. Ten porwał się też jak wilk ze swej ławy, i stojąc przed garbusem wpatrzył się weń dziko, jakby chciał powiedzieć:

— Cóż to, ty mnie zdradzasz?

Garbus udawał że go nie widzi.

— Zapomniałeś pan chyba, coś mi dawniej mówił! — zawołał Żylewicz z gniewu głosem ochrypłym.

— Inna rzecz rozmawiać z kim prywatnie, a inna pod grozą przysięgi przed Sądem zeznawać.

— Wysoki trybunale! — Żylewicz jęknął. — Ja mam na to dwóch świadków że pan Dobrzyński zupełnie inaczej opowiadał mi tę sprawę.

— Gdziesz są ci świadkowie? — przewodniczący zapytał.

— Ja sam jestem jeden, a pan Dobrzyński drugi.

Sala parsknęła śmiechem homerycznym, co nawet kilku przysięgłych zbudziło. Garbusa zaprzysiężono, mimo że Żylewicz wymownie temu się sprzeciwiał, poczem przewodniczący na kilka minut przerwał rozprawę.

Ryszard siedział ciągle na jednym miejscu, jak posąg nieruchomy; garbus aby jego spojrzeń uniknąć, mimo że świadczył na jego korzyść, wymknął się do sali świadków.

Żylewicz zachmurzony przechadzał się krokiem mierzonym, naradzając się ze swoim obrońcą.

Tymczasem sędziowie przysięgli, paląc cygara w tej samej sali, gdzie rano odbywało się losowanie, rozmawiali o toczącej się sprawie.

— Djabli wiedzą po co nas tu sprowadzili — pierwszy przemówił. — Dodnia kazałem zarżnąć dwa wieprze, a chłopaki gotowi mi jeszcze popsuć kiełbasy. I gdyby choć o coś ważnego procesowały się te jenteligenty! Tymczasem ten nabrechał, a tamten za to go pozywa. U nas to sobie ludzie i w pysk dadzą a nikt nie skarży.

— Prawdziwa kuniracja! — drugi potwierdził. — Dobrze im, więc do Sądu się wodzą. Ale niechby z nich który jak ja cały dzień postał przy szynkfasie, pewnie by mu się takich zbytków odechciało.

I mnie się zdaje, że Żylewicz nabrechał — dał się słyszeć głos trzeci, i od poprzednich poważniejszy. Ale taki to już zwyczaj gazeciarski. Nie darmo powiadają o tych co kłamią, że drukują.

— Ale Żylewicz to wielki człowiek, a tego Gozdawy nikt nie zna! — przemówił najniższy między przysięgłymi, człowiek bardzo ruchliwy, któremu podczas rozprawy można było z oczu wyczytać, że sympatyzuje z Żylewiczem... Był to pan Grzegorz, właściciel handlu win na przedmieściu, do którego w niedzielę i święta, Żylewicz ze swymi przyjaciółmi zawsze zaglądał. W lecie chodził tam także często na raki.

— A ciekawym — ktoś zapytał — co by się stało Żylewiczowi, jeźlibyśmy powiedzieli że winien.

— Uchowaj Boże! — pan Grzegorz zawołał. Poszedłby na kilka miesięcy do kryminału, a to przecie człowiek w kraju zasłużony.

— Więc jak wam się zdaje, panie Grzegorzu cośmy powinni powiedzieć?

— Jużci że nie winien... Przecie Żylewicz tylko to napisał, co mu ludzie mówili, a że mówili, o tem dowiedzieliśmy się od świadków. Zresztą jak powiemy, że nie winien, to jemu nic nie będzie, a i temu Gozdawie głowa z karku także nie spadnie. Dla tego że szlachcic więc mu się już zdaje ze ma wielki onor. A wszak ci i Żylewicz od niego nie gorszy!

— Pewnie, pewnie — kilka głosów potwierdziło.

W tem miejscu dał się słyszeć dzwonek. Przysięgli wrócili do sali.

Przewodniczący wezwał teraz Ryszarda, żeby opowiedział, wśród jakich okoliczności Krystyna umarła. W słowach krótkich a treściwych, spełnił to natychmiast, pomijając Różę zupełnie, nie chciał bowiem, by do sprawy tak brudnej mięszano jej czystą osobę. Gdy skończył, przewodniczący zapytał:

— A czem pan udowodnisz, że to wszystko prawda?

Ja bym raczej sądził, że pan Żylewicz powinien udowodnić, że to nie prawda.

— Pan Żylewicz twierdzi też coś wręcz przeciwnego.

— A czy udowodnił swoje twierdzenie? — Ryszard zapytał.

— Jak widzę — odrzekł przewodniczący — pan oskarzyciel prywatny nie rozumie należycie charakteru sądu przysięgłych... szkoda żeś pan sobie nie wziął zastępcy. Panowie przysięgli sądzą nie według dowodów i paragrafów, lecz według przekonania... Często więc zdarza się, że nawet to, co nie jest udowodnione, w ich sumieniu na potępienie zasługuje i odwrotnie...

— Jeźli tak — Ryszard żywo odparł — to proces o obrazę honoru jest nonsensem, najczystszy bowiem człowiek może wyjść z niego błotem obryzgany. Wszak gdyby sam Chrystus na ziemię dziś stąpił, a ktoś mu coś nieuczciwego zarzucił, on nie mając pod ręką świadków na udowodnienie swojej niewinności, mógłby z takiego procesu wyjść zaszargany.

— Źle zatem — przewodniczący wtrącił — żeś pan nie wezwał świadków odwodowych... Zresztą możesz pan co do tego postawić jeszcze wniosek. Przerywam posiedzenie na 10 minut, byś się pan namyślił.

Ryszard osłupiał. Więc on, człowiek we własnem przekonaniu na wskróś czysty, mógłby wyjść z tej sali z piętnem nikczemnika na czole! Snać Żylewicz, który znał wybornie swoje społeczeństwo, spodziewał się tego, i dla tego to z taką zuchwałością uderzył nań w gazecie. Nie wiedząc co począć, twarz sobie oburącz zasłonił.

— Ryszardzie! — usłyszał głos obok siebie i czyjaś ręka dotknęła się jego ramienia.

Podniósł głowę; przed nim stał Henryk Dobrzyński.

— Zażądaj od przewodniczącego, żeby do poniedziałku rozprawę odroczył... Dziś już sobota, łatwo to uzyskasz. Ja tymczasem świadków ci dostarczę... Jeźlim przeciw tobie czem zawinił, naprawię!... Przysięgam ci Ryszardzie, że w poniedziałek będziesz miał świadków!

Ledwie to powiedział, trybunał wrócił do sali. Ryszard musiał szybko powziąć postanowienie. Henryk prawdopodobnie znał tajemniczego mieszkańca Ekonomówki i zamierzał go sprowadzić. Należało tedy usłuchać jego rady.

Zaledwie sędziowie zajęli swoje miejsca, Ryszard powstał i poprosił o odroczenie rozprawy do poniedziałku, by tymczasem mógł sprowadzić świadków odwodowych. Mimo sprzeciwiania się Żylewicza i jego obrońcy, trybunał na to przystał.

Słuchacze rozeszli się niezadowoleni. Ryszard gmach sądu karnego opuszczając, napróżno szukał Henryka Dobrzyńskiego. Nie widział go także nikt z przechodzących, których o niego pytał. Smutny poszedł więc do domu.

Garbus zaledwie usłyszał, że rozprawa odroczona, wybiegł z sali i cwałem do hotelu popędził, gdzie Stern mieszkał. Tego dnia przyjechał on umyślnie do miasta, by być świadkiem zguby swego przeciwnika. Garbus nie zastał go jednak w hotelu; odźwierny zapytany odpowiedział, że pan Stern poszedł do łaźni. Właściciel Ludaczowa, jako żyd bezwyznaniowy, który brzydził się hołotą żydowską, chodził do łaźni tylko w Sobotę, i wybierał zawsze katolicką, jako porządniejszą, Henryk Dobrzyński dotąd łaźni unikał, wiedząc bowiem jak jest zbudowany, nie chciał ludziom dobrego serca sprawiać przykrości, a złośliwym nastręczać tematu do krytyk i żartów.

Dziś jednak inaczej się namyślił. Przypomniawszy sobie, o co go nieznajomy już dawno prosił, postanowił przekonać się, czy też Stern ma w rzeczy samej znak na lewem ramieniu. Dotąd nie czynił tego, ponieważ z obawy, by nie musiał Ludaczowa a z nim i Róży porzucić, nie chciał przeciw Sternowi nic stanowczego przedsięwziąć, i mimo że nieznajomy kilka razy przypominał mu obietnicę, zwlekał jej wykonanie.

Plan, który sobie w sali sądowej ułożył, był tego rodzaju, że odtąd zerwanie ze Sternem uważał za niezbędne. Widok Ryszarda, który cierpiał tak niewinnie, i na tyle zniewag był narażony, natchnął go nowemi myślami, prawie bohaterstwem, do jakiego dawniej nie był zdolnym; słowem przeistoczył go całego. Garbus był teraz gotów spełnić nawet poświęcenie, tem większe, iż wiedział, że do cierpień kolegi, który go tak serdecznie przyjął w swoim domu, najwięcej może sam się przyczynił.

— Kiedym mu moją nikczemnością zaszkodził — powiedział sobie w duchu — więc powinienem mu dopomódz!

— Pod wpływem nowych uczuć Rózia chwilowo na drugi plan ustąpiła, a gdy mu później na myśl przyszła, przypomniał sobie, jak mu nieznajomy przysięgał, że to, czego od niego żąda, jest i dla niej korzystne. Wszystko zatem tak się złożyło, że chwiejny zawsze Henryk Dobrzyński, miał od razu zostać człowiekiem stanowczym.

Pobiegł do łaźni, gdzie w rzeczy samej Sterna zastał. Ten go w pierwszej chwili nie poznał, dopiero gdy garbus w tyle za nim stanąwszy, i na jego ramieniu ujrzawszy znak jakby od kuli, ach! zawołał, obrócił się i gniewnie krzyknął:

— Po co pan tu przyszedł? Kto tu panu kazał przychodzić?

Podrażniony tem przyjęciem odrzekł:

— Wiesz pan kto? Ten, co mieszkał w Ekonomówce.

Stern mimo że w łaźni było gorąco, zbladł jak to prześcieradło, którem się właśnie zasłaniał i ledwie bąknął:

— Co pan gada?

— To, co pan słyszy... A jutro da Bóg w Ludaczowie inaczej się rozmówimy. Znak na pańskiem ramieniu coś wart! Pan to wiesz przecie!

Garbus postawił wszystko na ostatnią kartę. Chociaż nieznajomy jeszcze mu prawie nic nie powiedział, z łatwością się domyślał, że między nim a Sternem była jakaś wielka tajemnica, która Sterna przerażała. Wszak nie zapomniał jak Stern pobladł ongi pod kaplicą, gdy nieznajomego pierwszy

raz zobaczył. Teraz zaś dla tego mu groził, że w jego planie leżało, by Stern do domu nie wracał.

— Jeźli się przestraszy — myślał sobie — drapnie do Wiednia, a tego mi właśnie potrzeba.

Nie zawiodło go przeczucie. Stern nie tylko się przestraszył, nawet przeraził, tak dalece że nic nie odpowiedziawszy, skrył się do swej komórki. Garbus uradowany zawołał:

— Pamiętaj łotrze, że jutro w domu cię odwidzimy! A nie tylko on jeden ze mną przyjdzie!... Będzie nas tam więcej!...

Przynajmniej słowami mógł się teraz mścić na człowieku, który od tak dawna pomiatał nim jak stworzeniem najnędzniejszem. Stern siedział ciągle w swojej komórce, a garbus prędko się ubrał i rzuciwszy jeszcze obelgę swemu tyranowi, wybiegł z łaźni.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZAPYTANIE.

Najnowsza Sielanka Ebersa.

(Ciąg dalszy).

Zasypany pytaniami ciekawej klucznicy, odpowiadał jak mógł: że Protarch sprzedał oliwę ich pana, tak drogo jak swoją własną, że dla swojego sąsiada Kleonta kupił parę koni, z którymi jego naprzód wyprawił. Jeżeli wiatr się nie obróci, jeszcze dziś tutaj będą.

Podczas tego opowiadania, wyjmował ostrożnie kawałek papyrusa z po za pasa, którym był przepasany jego niebieski, białem łamowany chiton i oddał go Semestrze, wraz z pozdrowieniem od swojego pana.

Klucznica obracała żółtawy listek na wszystkie strony, zbliżała sobie do oczu, zerkając przytem z pod oka niechętnie i wahająco na starego Jasona. Nie potrzebywał przecież wiedzieć, iż ona nie umie czytać pisanego, ale Xantha jest biegłą w tej sztuce, ma i tak przyjść wkrótce na śniadanie więc pismo odczyta.

— Może przeczytać? — wtrącił Jason od niechcenia

— Oh! ja to i sama potrafię — zapewniła Semestra, kreśląc coś po posadzce kijkiem, jak gdyby słowa układała. — Tylko nielubię czytać i dowiadywać się coś nowego, dopóki na czczo jestem, a to co się w tym liście znajduje, tyczy się mnię jedynie, i nikogo więcej. Idź Doryppo i zawołaj mi Xantę na śniadanie.

— Ja wiem już co w tym liście jest napisano — zawołała dziewczyna, której nie chciało się opuszczać brata przyjaciółki, tem bardziej że mu była z serca przychylną, i jeszcze nie jedno miał jej o swojej podróży opowiedzieć — Mopsus mówił nam że pański bratanek Leonax syn Alkiphrona, przyjeżdza wraz ze stryjem swoim, i chce tu dłuższy czas zabawić, ale nie w domu Protarcha, tylko u nas. Ma być pięknym młodzieńcem, jeszcze wyższy niż Phaon, i Mopsus opowiada, iż Alkiphronowa małżonka, z polecenia naszego pana, dobrze do worka zajrzała, i nakupiła u przyjaciół swojego męża różnych piękności, złote naramienniki, złote szpinki, stroje kobiece, a nawet i takie, które tylko poważnym matronom przystoją.

Po żółtej i zmarszczonej twarzy Semestry, przemknął uśmiech takiej nadziei i uradowania, jak gdy ziemia poczuje pierwszy, ciepły powiew wiosny, pod którym na gwałt listki na drzewach rozwijają się, a rośliny z pod obsłon zimowych ciekawe główki na świat wystawiają. Nie myślała w tej chwili, że wszelkie nowiny szkodzić mają jej żołądkowi, póki jest naczczo, i prędko spytała, widząc już oczyma duszy, piękny strój matrony, i bogate dary dla Xanthy przeznaczone:

— Czy ona prawdę mówi? Jakże te suknie wyglądają?

— Sam pomagałem je składać — odrzekł Mopsus — do pięknej skrzyni cedrowej, bogato ozdobionej blachami złotemi i kością słoniową; takiej, jaką zwykło się narzeczonej ofiarować. Była mi w tem pomocną Praxilla, okazała siostra małżonki Alkiphrona; dała mi również...

— Idźcież Xanthy zawołać — przerwała Semestra posłańcowi, śmiejąc się z cicha podczas jego opowiadania, a gdy dziewki wyniosły się czemprędzej z Mopsusem, spojrzała z tryumfem na Jasona.

Nagle przypomniała sobie, ile jeszcze brakuje, aby godnie przyjąć zjeżdzającego kawalera, i na cały głos zaczęła wołać:

— Doryppa, Chloris! Chloris, Doryppa!

Żadna z nich nie raczyła się odezwać, straciwszy zatem wszelką nadzieję, aby ją usłyszały, zżymnęła pogardliwie ramionami, a obracając się do Jasona:

— Takie młode, a jak pień głuche! — rzekła z politowaniem. — Nieszczęśliwe dziewczęta!

— Mopsus im milszy od ciebie, i dla tego nie chcą usłyszeć! — roześmiał się stary.

— Co to nie chcą! — oburzyła się Semestra. — Mopsus wprawdzie, jest łotrzyk zuchwały i nicpoń na wielki kamień, którego już nieraz radabym była z domu wypędzić, ale chciałabym tego widzieć, ktoby śmiał mnię nie posłuchać?! Co się tyczy twoich zamiarów, sam przekonałeś się że nasza dzieweczka Leonaxowi przeznaczona.

— A jeżeli Xantha kocha Phaona, i woli go, niż jakiegoś tam obcego młodziana?

— Syn Alkiphrona miał by być obcym, na ziemi ojców swoich?! — krzyknęła Semestra.

— Co też to nie wszystko człowiek musi od was usłyszeć. Ale odchodzę aby wszystko na przyjęcie Leonaxa przygotować. Chcę aby od razu uczuł się u nas jak w domu własnym, a nie jak u obcych! Idź jeżeli chcesz, i złóż ofiarę Aphrodycie, aby złączyła serca

Xanthy i Phaona, ja atoli wracam do mojego rożna, i zajmę się ucztą dla narzeczonych.

— Będziesz tam na właściwem miejscu — rzucił się Jason niecierpliwie — ale jeszcze go nie obracasz z pieczenią weselną dla Leonaxa!

— A dla twojego Phaona — ze złością klucznica odcięła — chyba wtedy rożen obrócę, jeżeli zwierzątko przezemnię karmione z niewoli Boginię miłości, zapalić w sercu Xanthy płomienie dla Phaona, a nie dla Leonaxa, syna mojego ulubieńca, mojego wychowańca najdroższego!

XANTHA.

Cokolwiek później rozlegał się w około głos Semestry, wołający:

— Xantha! Xantha! Gdzie też to dziewczę tak się schować mogło?!

Stara zeszła do ogrodu, a że umiała cenić wartość czasu, i lubiła jedną sprawę załatwiać obok drugiej, nawołując zatem i szukając swojej wychowanicy, zbierała po drodze jarzyny i zioła, na których perliła się dotąd świeża rosa poranna, połyskując w słońcu, ni to krople brylantowe,

Przy tem zajęciu myślała więcej o synie swojego ulubieńca, i o potrawach, ciastach i tem podobnie... dla niego, niż o tej, którą wołała.

Co Alkipron lubił za młodu, to chciała i dla jego syna przygotować najstaranniej, bo przecież — myślała w duchu — co niegdyś ojcu smakowało, powinno podobać się również synowi.

Ze dwadzieścia razy schyliła się po świeżą lawendę, zieloną sałatę, lub marchew czerwieniejącą z daleka, a zawsze, gdy za pomocą laski mirtowej wyprostowywała, o ile na to wiek pozwalał krzyże w pół zgięte, wołała na nowo: „Xantha! Xantha!“

Chociaż jednak głowę tak wysoko podnosiła, iż słońce prosto w jej otwarte usta świeciło, i chociaż siła jej płuc była wypróbowaną, żadnej odpowiedzi nie otrzymywała.

Bynajmniej się tem jednak niepokoiła, dziewczę nie mogło być daleko, a Semestra była zresztą przyzwyczajona do tego, iż nigdy na pierwsze zawołanie, stawić się i odpowiadać, nie lubiło.

Dziś atoli Xantha dłużej niż za zwyczaj, kazała czekać na siebie.

Doskonale ona słyszała, głos piskliwy i daleko się rozlegający staruszki, tyle się atoli nim troszczyła, co gdakaniem kur na dziedzińcu, krzykiem pawia, lub gruchaniem gołębi na dachu gołębnika.

Domyślała się iż zapewne woła ją Semestra na śniadanie, jej zaś wystarczała zupełnie kromka chleba suchego, aby głód zaspokoić. Gdyby ją była wabiła Semestra najsłodszem kołaczem, nie byłaby w tej chwili rada opuszczała źródełka, przy którem usiadła.

Z szumem wytryskiwało ono z rozpadliny w skale, najwyżej położonej, na całem jej ojca terytorjum. Często, a szczególniej wtedy, gdy serce jej czemś było poruszone, lubiła tam przesiadywać. Byłże bo to istotnie kącik rozkoszny!

Woda zbierała się po lewej stronie ławki, na której Xantha siedzieć lubiła, w basen białym marmurem otoczony, formując niby mały stawek, dziwnej czystości i przeźroczystości. Na dnie widziało się i rozpoznawało najmniejszy kamyczek szary lub czerwoniawy, odznaczał się załom na muszelce najdrobniejszej w piasku tkwiącej, jak gdyby każdy z tych przedmiotów na dłoni się trzymało, a jednak przeźrocze wody było tak głębokie, iż gdy Xantha chciała je swojem białem, okrągłem ramieniem zgruntować, nie tylko utopiła w niem złotą obręcz po wyżej łokcia zapiętą, ale gdy się uparła, aby z dna dostać jedną z muszelek, zamoczyła nawet brzeg peplosu, spiętego kosztowną kameą na ramieniu.

Powierzchnia wody lśniła zielonkowato, niby kryształ, w którem zanim stężeje, powrzucano by szmaragdów odłamy.

W dalszym biegu, całe koryto strumienia ze stawku wypływającego, było jakby wyłożone roślinnością najrozmaitszą.

Nad samym brzegiem rosło mnóstwo kwiatów różnobarwnych, przezierając się w szybkich nurtach wody, niby piękna dziewczyna w źwierciedle. Do skał lekko przyczepione, zwieszały się mchy najrozmaitsze, gdzie niegdzie wody dotykając. Na dnie zaś samym ciągnęły się pasmem nieprzerwanem, drobne, i jak jedwab cieńkie cudnej zieloności rośliny wodne, wyścielając sobą miękie łoże wodzie to z szumem spadającej po kamieniach, to cicho płynącej i szemrzącej coś tajemniczego, niby szepty dwojga zakochanych. Tam gdzie najwyższą kaskadę woda tworzyła, cały las paproci olbrzymich wiał po nad wodą, podobny do piór strusich, któremi troskliwe piastunki chłodzą czoła uspionych dzieci królewskich.

Xantha godzinami tak nieraz goniła wzrokiem wartkie nurty źródełka, ginące wśród gajów mirtowych.

Jeżeli podniosła oczy i w koło się obejrzała, to tak na pagórku lekko spadzistym, jak i na wązkiem paśmie dolinki po dwóch bokach wijącego się strumienia, wzrok jej spoczywał na samych łanach i ogrodach do ojca jej i stryja należących.

Cała ta przestrzeń wyglądała niby zielony, puszysty kobierzec, przetykany gdzie niegdzie punktami białemi i żółto-złotemi, lub też podobną była do owych koszów zielenią wyłożonych, a mieszczących w sobie pełno owoców, które dziewice niosą na głowie, w święto Demetry, aby je złożyć tejże w ofierze.

Krzaki granatu i mirtu, odznaczały się świeżą szmaragdową zielonością, od bujnego, śrebrzystego liścia, rozłożystych drzew oliwkowych.

Róże purpurowe, kwitły wzdłuż płotów i nad rowami, świecąc zdaleka, jak ów słońca pocałnnek ognisty, który je do życia powołał; pomiędzy niemi, rozsypane kwiecie mleczno-różowe brzoskwini i migdałów, wyglądało skromnie a woniejąco, jakby usteczka dziecięcia niewinnego ze snu je zbudziły lekkiem musnięciem.

Z dziwnie pokręconych i poplątanych gałęzi drzew

figowych korony, zwieszały się młode, świeżutkie listki, a pod niemi kryły się torebki z przyszłym owocem. Wśród liści twardych połyskujących, stawiających śmiało czoło zimie nawet, dojrzewała złota cytryna, a w długich szeregach rosnące smutne i ciemne cyprysy, odbijały od tej rozkosznej przyrody, niby poważne strofy chóru greckiego, podczas swawolnej komedji. Podobnym do obozu, z okrągłemi, szeroko sklepionemi namiotami, wydawał się patrzącej, widniejący z daleka las pinji, do jej ojca należący. Gdy wzrokiem po za las wybiegła, spoczęła oczami na morskiej zatoce, której powierzchnia spokojna tego ranka pogodnego, to przybierała kolor jasny cyanny, to połyskiwała niby szafir ciemny, pięknie wyszlifowany, wszędzie walcząc o pierwszeństwo z nieba błękitem. A jak na szerokim widnokręgu płynęły lekkie chmurki, tak na falach morskich, ślizgały się statki z żaglami rozpiętemi, niby goniące jeden za drugim łabędzie.

Na wzgórzach zielonych rozsiadły się, tu biała świątynia, tam wsie całe i miasteczka, ni to owiec gromadka, a znowu gdzie niegdzie, błyszczał wśród zieleni domek odosobniony, niby od trzody zabłąkana i oderwana jednostka.

Ludzie weseli lubią głowy stroić wieńcami i tu też każde domostwo, otaczała wieńcem zieloność, zdobiły kwiaty różnobarwne.

Po za wzgórzami, ciągnęło się pasmo gór skalistych strzelających śmiało w niebo, szczytami niedostępnemi, a wśród nich wychylała z poza mgły swoją pyszną głowę wiecznym śniegiem przypruszoną, spokojna i milcząca Etna.

O tak wczesnej godzinie, morze i ogrody, wzgórza i dalsze góry, wyglądały jakby powleczone gazą przeźroczystą, do której by morze udzieliło srebrnej przędzy a słońce poprzetykało ją swojemi złotemi promieniami.

Cudowny to był obraz, ale nie dla niego przychodziła Xantha w to miejsce zaciszne; zaledwie wiedziała, że patrzy na coś, tak pięknego.

Wprawdzie utrzymywała ona, gdy morze wypożyczało tak jak dzisiejszego ranka lazuru od nieba i zaledwie z lekka marszczyło swoje źwierciadło, że w sinych głębiach wodnych, drzemie słodko Glankus, bożek toń morskich.

W dniach wietrznych, kiedy fale toczyły się szybko uderzając o brzeg grzbietem zapienionym i jakby białym rąbkiem, wybrzeże zielone garnirując, mówiła iż to Nereidy tak się wesoło pod wodą zabawiają.

Powszechnie miano o nich opinję, że są to istoty figlarne o tyle czarowne, o ile niebezpieczne.

Jedne kołysały się rozkosznie w wodnych kryształach drugie wskakiwały śmiało na grzbiety Trytonom każąc im się unosić i próć w szybkim biegu wód tonie.

Gdy bałwany morskie z szumem i trzaskiem o brzegi skaliste uderzały, zdawało się Xancie w jej bujnej wyobraźni, iż widzi tych wodnych olbrzymów, z ogonem łuską opancerzonym, jak dmą w muszle szerokiemi nozdrzami, a niejedna modra fala białą pianą okryta, wydawała jej się to szyją łabędzią, to ramieniem obnażonem, to nóżką, niby z marmuru kararyjskiego wykutą, jednej z pięćdziesięciu cór bożka Nereusa.

Byłaby przysięgła, iż widzi te figlarki, jak jedne głową na dół nurka dają, aż na dno lecąc, drugie w pląsach wesołych okręcają się pół ciałem z wód toni się wychylając, reszta nareszcie ująwszy się za ręce, pluska w wodzie długim korowodem.

Co dzień zaś inaczej musiały się zabawiać, gdyż morze nie tylko dnia każdego inaczej wyglądało, nawet z godziny na godzinę postać swoją zmieniało częstokroć.

Nieraz złote promienie, przetykały modre wód tonie to znowu oblekało morze barwę cudowną, niby najpyszniejsza purpura fenicejska. A czasem toczyło bałwany jak oko nocy czarne, to znowu, jak pierś Leukothei śnieżne i połyskujące.

Wtedy atoli ukazała się z rozwianym włosem i na wsze strony rozbrzmiewającym głosem Amphitrida i Poseidon na swoim wozie tryumfalnym.

Patrząc ponuro, popędzał ostro świszcząc batem swoje rumaki. Z gniewem zanurzał swój trójząb głęboko w toń morską i natychmiast fale kolor zmieniały na bronzowy, brudno żółty i czarno popielaty a morze robiło się podobne do stawu z dnem błotnistem, w którem by robotnicy ciskali jeden po drugim wielkie skał odłamy. Czystość wody była zupełnie zmącona, a morskie bałwany hucząc i pieniąc się gwałtownie, aż pod niebo skakały grożąc zniszczeniem marmurowemu ocembrowaniu brzegów. Nereidy strwożone chroniły się na same dno morza, gdzie wieczna cisza panuje, a Trytony, nie potrzebowali już muszel wydrążonych, aby dąć w nie łagodnie, nie, porywali surmy i na nich wygrywali pieśni wojenne, straszliwe i gromowładne, jak gdyby szło o zdobycie murów miasta nieprzyjacielskiego, Amphitryda zaś topiąc obie dłonie we włosach rozwianych, wydawała z siebie jęki przeraźliwe, wyciągając naprzód długą szyję.

Dziś atoli morze było gładkie i spokojne, a gdy Xantha nad brzegiem źródełka usiadła, to dopiero rąbki mleczno-białe chmurek nad szczytem gór zawieszonych lekko purpurą powlekać się zaczynały. Był to koniec sukni Eos znikającej, były to listki owych kwiatów rzucanych przez Ilory pod nogi rumakom Heliosa, które z morza, lub z poza gór na strop niebieski wyjeżdżają.

Światło poranku, przenikało coraz jaśniej firankę cyprysów, cicho szemrząc poruszały się drzew korony, a Xantha, również lekko główkę w tę i w ową stronę skłaniała, wierząc iż to piękne Dryady, w drzewach zamieszkujące, witają się wzajemnie po nocnym wypoczynku.

Na ołtarzu, który stał obok ławki marmurowej, a był zbudowany przez jej praojca na cześć Nimfy tego źródła, składała ona nieraz z krótką modlitwą kwiaty, lub nawet kołacz bóstwu na ofiarę... dziś jednak z próżnemi dłońmi tu przybyła.

Cóż ją tak rano w to miejsce przywiodło? Czy

przyszła może nad studnią, aby w jej gładkiej powierzchni, swój własny obraz podziwiać?

W domu rzadko kiedy było jej to dozwolonem. Semestra zwykła była mówić, skoro ją zastała z płytą metalową w ręku:

— Która z nas w młodym wieku za nadto często tu zagląda, zobaczyć może bardzo łatwo podobiznę głupiej z kretesem dziewczyny!

Najmilszym bywa zwykle owoc zakazany, Xantha jednak nie często zaglądała do tego źwierciadła ruchomego, chociaż mogła była z prawdziwem zadowoleniem przypatrywać się swojej osóbce. Postaci wiotkiej i wyniosłej, jak drzewo cyprysowe, miała przepyszne, złote włosy, śliczny regularny owal twarzy, cudne oczy szafirowe, z długiemi, ciemnemi rzęsami i z łukiem, przedziwnie zakreślonym, brwi czarnych, jak jedwab miękkich, a jak aksamit puszystych. W jej źrenicach, cała jej czysta dusza się odbijała; nie umiały one nic utaić z uczuć wewnętrznych i nieraz zdawały się pytać w zamyśleniu: „Co też bogowie za los mi przeznaczają?“ Jednocześnie atoli, czytało się odpowiedź pocieszającą w tym wzroku promienistym: „Na pewno, coś pięknego i pomyślnego, mam się od przyszłości spodziewać“!

Nie przyszła jednak i po to, aby roić słodko o przyszłości, nie! ona przeciwnie przyszła tu, aby być smutną, smutną serdecznie i aby w cichości, nie będąc za to strofowaną, wylewać w tym kąciku łzy obfite. Nie łkała gwałtownie, jednak spadały z jej oczu jedna za drugą, te krople słone, które gdy płyną po młodej twarzy, wyglądają jak pień gruszy głęboko zaciętej, gdy kropla po kropli sączy się z jej łona sok żywotny.

I tak, Xantha siedziała tu smutna i zadumana, chociaż rozkosz ją w koło otaczała, chociaż w jej domu śmiech nigdy prawie nie ustawał, a z często i jej własny łączył się wesoło i swobobnie do chóru z figlarną Chloris i czarnooką Dorippą.

Jej ojciec, nader powoli zdrowie odzyskujący nie umiał niczego jej odmówić, a chociaż próbowała czasem sprzeciwić się w czem Semestra, to jednak kończyło się zwykle na tem, że Xantha zrobiła, jak jej się podobało. Na ucztach i tańcach wesołych, również jej nie zbywało, a żadnej z jej towarzyszek nie znosili młodzieńcy wstążek piękniejszych, żadnej nie podawali chętniej ręki do koła tańcującego. Ze wszystkich dziewcząt, szeroko i daleko, ona była uznaną za najpiękniejszą a Phryrusa żona, Ismena, powiedziała, że jej taniec i śmiech śrebrzysty, skusiłyby i uzdrowiły nawet bezwładnego: a Ismena miała przecież sama córkę w wieku Xanthy, więc z pewnością prawdę powiedziała.

Dla czegoż o bogowie! Xantha smutną była?

Czyż do tego potrzeba koniecznie powodu?

Trzebaż zaraz nieszczęścia aby młodą dziewicę tęskno i łzawo usposobić?

Z pewnością nie!

I właśnie główki najszaleniej wesołe, najmniej są wolne od napadów podobnych.

Nieraz, gdy niebo najjaśniejsze, powietrze najcudowniejsze, a tak lekkie i przejrzyste, że najdalsze i najwyższe gór szczyty rozróżniamy na widnokręgu, ni z tąd, ni z owąd deszczyk kropić zaczyna, możnasz się więc dziwić, że kto śmieje się długo i z serca, rozpłacze się czasem równie łatwo i serdecznie.

Kto doświadczy wielkiej przykrości — choćby nie bolu najgłębszego — kto wzbije się w sferę najwyższej rozkoszy, i dziewczę rozkochane, tę trójcę najcześciej niebo darzy łez dobrodziejstwem.

Czyż i Xanthy młode serduszko, zraniła strzała Erosa?

Było to prawdopodobnem, chociaż dotąd, sama przed sobą do tego się nie przyznawała, a wczoraj jeszcze, byłaby temu najśmielej zaprzeczyła.

Kochała atoli jakiego młodzieńca, i jeżeli on ją w tę stronę pociągał, to musiał chyba zamieszkiwać w domu czerwieniejącym zdaleka, który wznosił się na pagórku po prawej ręce od niej, tuż nad morzem, gdyż prawie od tego punktu oczów nie odrywała. Tam jednakże, pod tym dachem czerwonym, oprócz niewolników, zamieszkiwał jeno jej stryj, stary Jason, jego zarządca, i Phaon; chwilowo nawet jak wiemy Protarcha w domu nie było, gdyż powiózł swoją, i jej chorego ojca oliwę, na sprzedaż do Meseny.

Wiekowi podeszłemu, udziela się jako należnej jałmużny, uszanowania, młodość tylko może żądać daru miłości, a z tych trzech mężczyzn, którzy dom na pagórku zamieszkiwali, jeden tylko mógł sobie rościć prawo do tych rozkoszy, i to z powodów rozmaitych.

Xantha myślała istotnie w tej chwili o Phaonie, tak jednak groźno i niemal wyzywająco, czoło marszczyła przy tem wspomnieniu, iż bynajmniej nie wyglądała na dziewicę dla czulszych uczuć przystępną.

Teraz drzwi domu otworzyły się szeroko, zerwała się szybko z siedzenia, aby lepiej widzieć wychodzącego. Niewolnik niósł na głowie wielki dzban z gliny brunatnej, w czarne desenie malowany, i szedł z nim zapewne do studni po wodę.

Cóż jej był winien, ów niewolnik silny i barczysty, mimo iż wiek siwizną włosy jego poprószył, że tak gniewnie nóżką tupnęła, i usteczka drobnemi i białemi jak perły ząbkami, do krwi prawie zagryzła?

Nikt, nigdy, nie może być mniej pożądanym, niż ten, który nam się pojawia właśnie w chwili, gdy z tęsknotą innego oczekujemy i radzibyśmy zobaczyć, a Xantha wyglądała Phaona nie zaś niewolnika stryja.

Nie miała mu nic do do powiedzenia, byłaby z pewnością uciekła, gdyby się ośmielił odwidzieć ją przy źródle, ale chciała go zobaczyć, chciała przekonać się sama, czy Semestra słusznie utrzymuje, iż Phaon zamyśla poślubić bogatą dziedziczkę, o którą stara się ojciec jego w Messenie. Dla pieniędzy — mówiła wczoraj wieczór Semestra — chce pojąć za żonę czarta w spodnicy, a korzysta tymczasem z ojca niebytności, aby co wieczór, skoro ognisko wygaszą, wymykać się z domu cichaczem. Aż gdzieś, dobrze po wschodzie słońca, wraca nocny

ptaszek, zapewne po całonocnych hulankach wyuzdanych, ze znanym z rozpusty Hermiasem, i innymi równie z szaleństw znanymi kompanami. Oni potrafią niezawodnie rozwiązać jego język leniwy i małomowny!

Gdy do tych słów, dodała jeszcze stara owego wieczora, opis uczt podobnych, gdy wspomniała o wymalowanych dziewczętach, na flecie przygrywających, z któremi panicze miastowi puszczają na cztery wiatry swoją ojcowiznę, gdy podniosła i tę okoliczność, że Phaon w tym czasie wygląda mizernie, i chodzi zaspany, zupełnie jako uczeń pojętny i uległy rozpustnika Hermiasa; — Xantha uczuła taką do starej nienawiść, iż o mało nie zapomniała o szacunku należnym jej siwym włosom, i nie rzuciła jej w oczy, że to wszystko fałsz i potwarz nikczemna.

Ale nie mogła podnieść głosu w tej sprawie, gdyż najprzód ubieganie się Phaona o rękę bogatej dziedziczki w Messenie, głęboko zraniło jej dumę dziewiczą, powtóre Phaon istotnie ostatniemi czasy dziwnie był blady i jakby zmęczony.

Gdy Semestra zaczęła śpiewać pochwały, jej krewnego Leonaxa, tyle właśnie zwróciła na jej mowę uwagi, ile na ćwierkanie świerszcza pod ścianą; końca nie dosłuchawszy, zerwała się z siedzenia, a nie życząc nawet jak zwykle staruszce „dobrej nocy" plecy jej pokazała i wyszła z komnaty.

Nim udała się na spoczynek przebiegała w szersz i w zdłuż sypialnią. Swoje piękne i długie warkocze, tak nieostrożnie rozpinała, że aż ją zabolało.

Piękną, koloru maku szkarłatnego chusteczkę, którą zwykła była na noc włosy okrywać, tak silnie w koło szyi okręciła, iż musiała rozwiązać ją czemprędzej aby się nie udusić.

Sandały, z których uwolniła swoje małe i wązkie nóżki, zamiast położyć razem pod stołek, a na nim ułożyć suknie zdjęte starannie, jak ją jeszcze matka niegdyś uczyła, cisnęła w kąt każdy z osobna, a suknie na ziemi porzuciła; myślała przytem ustawicznie o Phaonie, o bogatej dziedziczce w Messenie, i postanowiła poświęcić na to noc całą, aby plan ułożyć, jakby podejść i wybadać Phaona najzręczniej, na punkcie owych nocnych hulanek, i owych zabiegów ojca jego w Messenie, i dowiedzieć się o ile było prawdy w podszeptach Semestry niegodziwej.

Bożek Morfeusz, inaczej był atoli postanowił. gdyż skoro Xantha na łoże się rzuciła, lampę zgasiwszy i kołdrą szczelnie się owinąwszy, sen ją zmorzył.

Zaledwie z brzaskiem różowym oczy otworzyła, aby natychmiast zacząć myśleć o Phaonie, dziewiczce bogatej, i słowach niegodziwych Semestry. Dla tego udała się tak wcześnie do swojego miejsca ulubionego.

Z tamtąd mogła zobaczyć, czy syn jej stryja, będzie wracał nad ranem z miasta krokiem chwiejnym i znużonym czy też wyjdzie rankiem z domu, aby swojego karego rumaka, którego żadna ręka niewolnicza tknąć się nie śmiała, wyczyścić, i do pójła zaprowadzić.

Phaon atoli dotąd nie raczył się pokazać.

Jeżeli zwykle, chętnie tu dumać przychodziła, i pewną smętność wcale jej nie ciężyła, to dziś ból ciężki, niby nóż obosieczny, serduszko jej przenikał, a ta kromka chleba, którą pomału spożywała, gdyż głód jej mimo żalu dokuczał, wydawała jej się tak gorzką, jakby była w piołunie umaczaną. Solić jej nie potrzebowała, bo o to postarały się łzy obfite, na chleb spływające.

Słyszała wołania klucznicy, ale ona nigdy od razu nie lubiła na nie odpowiadać, teraz zaś byłaby może zupełnie takowe pominęła, gdyby nie była zauważyła — tak, tak, ona się nie myli — że... że... rozpłakała się w całem tego słowa znaczeniu, jak dziecię surowo skarcone.

Płakała!

I za kim?

Czyż wart był jej łez, ten chciwiec żądny li pieniędzy, ten lekkomyślnik, tam! w tym domu na wzgórzu!

Płakała z gniewu, nie z żałości, a to że płacze, tak ją złościło iż nowe łzy wylewać zaczynała.

Zanim jednak jej piękne oczka, miały czas od łez poczerwienić, oschły nagle, jak to jest w ich zwyczaju, póki są młode, i co bądź nowego, może zwrócić na siebie całą ich uwagę.

Dzieci dwoje, syn stróża jej ojca winnicy, i córeczka pasterza, który pasł liczne stado owiec również do jej ojca należących, gwarząc głośno, zbliżały się do źródła.

Szyję i piersi ustroiły fantastycznie zielonemi powojami, i chciały spuścić na stawek marmurem ocembrowany czółenko z kory drzewnej sztucznie sklecone.

Chłopak był właścicielem czółna, darował je wprawdzie wczoraj dziewczynce, ale dziś nie chciał jej oddać, póki mu za to nie wręczy muszelek pięknie połyskujących, które jej brat starszy pozbierał, ładnie wyczyścił, na nitkę ponawlekał, i na jej brunatnem ramieniu uwiązał. Chłopiec upierał się przy swojem żądaniu, i rękę po muszle wyciągnął, mała broniła się jak mogła, wśród łkań i łez rzewnych.

Przez dzieci niepostrzeżona, była Xantha świadkiem tej walki nierównej, co której siła jak zwykle bywa, chciała wziąć górę nad prawem własności najsłuszniejszem, prędko udała się w tę sprawę, uderzyła chłopca po ramieniu, niezgrabnie i bez wprawy, jak zwykle czynią to dziewczęta w jej wieku, odebrała z rąk jego czółenko, wręczyła je dziewczynce, i dodała ku niej zwrócona:

A teraz bawcie się razem spokojnie, gdyby ci jednak Syrus chciał odebrać, bądź czółno, bądź muszle, przyjdź do mnie biedna maleńka!

Otarła oczka zapłakanej własną spodniczką, jedną ręką objęła ramiona dziewczynki, drugą wplotła w gęste i czarne chłopca kudełki, przyciągnęła, jedno do drugiego i rozkazała z komiczną powagą:

— Pocałujcie się na zgodę!

Dziewczynka chętnie rozkaz spełniła, pocałunek atoli chłopca zaburmuszonego, był raczej do policzka podobny wymierzonego nie dłonią lecz ustami.

Xantha parsknęła śmiechem, a odwróciwszy się od dzieci, powoli zmierzala ku domowi.

Przez drogę rozpamiętywała wypadki rozmaite, z owych dni, gdy ona sama była taka maleńka, a Phaon bawił się z nią codziennie jak ów czarnowłosy Syrus, z córeczką owczarza.

Wspomnienia z szzbkością błyskawicy, przelatywały jedno po drugiem, przed oczyma jej duszy, żadne jednak nie było podobne do sceny, której przed chwilą świadkiem była.

Gdy raz powiedziała, iż strumień mógłby i co więcej obracać, niż kwiaty i listki, które ona wrzuca w jego nurty, Phaon tylko się cicho uśmiechnął, nazajutrz atoli zastała przymocowany do osi krzyżyk, który Phaon sam wystrugał i silnie między kamieniami osadził. Woda spadająca uderzała o szeroką powierzchnię sprychy i zmuszała ją do ruchu ciągłego. Tygodniami bawili się oboje tą ładną zabawką, nie żądał nawet za tyle mozołu słowa podzięki i ona też tego słowa nie wymówiła, tylko okazała radość z tego powodu i to Phaonowi zupełnie wystarczyło.

Jeżeli rozpoczęła z nim do spółki budowę domu z piasku i kamieni a skończyć roboty nie mieli już czasu, to nazajutrz rano zastawała domek pod dachem z muszelek, a do tego otoczony ogródkiem w którym gałęzie jako drzewa figurowały w piasek powtykane, a kwiaty różnobarwne, niby piękny kobierzec, miejsca próżne w okół wypełniały. Siedzenie przy studni sam dla niej urządził, również jak i ławeczki kamienne nad morzem, aby mogła suchą nogą wchodzić na statek, którym ją woził zabaw towarzysz, pomalowawszy własnoręcznie barwą czerwoną i niebieską, bo takie czółno z daleka w oczy bijące, widziała Xantha u jednego z sąsiadów i bardzo jej się podobało.

Mężczyznom z przykrością przychodzi odbierać od kogoś dary, którychby oddać nie mogli. kobiety przeciwnie, czy stare czy młode podobne są w tem do Bogiń, iż chętnie przyjmują dary od mężczyzny, uważając je jako dań im należną, dopóki są łaskawie usposobione dla ofiarującego, ale dziś Xantha była skłonną do gniewu na swojego tyloletniego zabaw towarzysza.

Tysiące radości i boleści wiązało ich wzajemnie a najdalej jak jej pamięć zasięgnąć mogła rysowało się wspomnienie, które nadało inny kierunek, jej skłonności dla niego. Oboje w jednym dniu po matkach swoich osierocieli i odtąd uważała to za swoją powinność, myśleć i czuwać nad opuszczonym. Z razu, co prawda zajmywała się nim jakby był wielką i żyjącą lalką, później atoli, z cokolwiek odmiennem uczuciem. A on ją oszukuje, niszczy zdrowie i chce jednym zamachem zburzyć gmach ich wspomnień wzajemnych a tak czarownych! — Jednak Phaon tak odmiennie wyglądał, niż reszta młodzieży męskiej w Syrakuzie

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ORDYNAT.

PRZEKŁAD Z NIEMIECKIEGO

przez Helenę Wilczyńską.

(Dokończenie).

Oswald istotnie zmienił się nie do poznania. Skoro się pozbył ciężaru zależności; skoro nie potrzebował staczać ciągłej walki z niesprawiedliwością i uprzedzeniem przeciw jego osobie, rozwinął się w pełni jego prawdziwy charakter; silny, niezłomny, lecz zarazem szlachetny i zdolny do najwyższych poświęceń. Rysy złagodniały; czoło się wyjaśniło; brwi nie ściągały się groźnie nad oczami ponuro w świat zapatrzonemi. Nie mógł on dorównać Edmundowi, w niewyczerpanej wesołości i ruchliwości; nie potrafił być tak pieszczotliwym i dziecinnym niemal; ujmował i on jednak teraz łagodną powagą, dojrzałem zdaniem w każdej kwestji życiowej, serdeczną prostotą w obejściu z ludźmi wszelkich stanów; a co prawda, imponował wielce energją i rozumem, tak że każdy musiał przyznać w duchu: „To prawdziwy potomek starożytnego rodu, godny być panem na Ettersbergu.“

Hrabia, ma się rozumieć, przybył jedynie aby maszynę podziwiać! Wzruszenie tajemne, nad którem nie umiał dość zapanować, okazywało dostatecznie, jak ona go namiętnie interesowała. Mimo tego olbrzymiego zajęcia nowym wynalazkiem, słuchał jakoś z roztargnieniem i dość obojętnie całego wywodu, pełnego entuzjazmu, z którym radca wystąpił, maszynę mu najdokłaniej opisując. Raz po raz ku drzwiom poglądał; wreszcie nie mógł wytrzymać, zwrócił się więc niby od niechcenia do Liny z cichem zapytaniem:

— Panna Jadwiga zapewne w parku? Zdaje mi się nawet, żem ją widział przejeżdżając.

Lina spojrzała na niego z pod oka z drwiącem wyrazem, który zdawał się mówić: „Gdyby tak było, pewno byś tu z nami nie siedział!“ — głośno zaś dodała z tą samą pozorną nonszalancją:

— Mylisz się panie hrabio. Jadzi nie ma wcale w domu. Wyszła na daleką przechadzkę, aby po tak długiem niewidzeniu, wszystkie swoje ulubione miejsca powitać.

Wszystkie ulubione miejsca! Oswaldowi więcej nie trzeba było. Przypomniał sobie raptem, że tylko bardzo krótko zabawić może; że go w Ettersberg czekają interesa nie cierpiące zwłoki, i że natychmiast odjeżdżać musi. To mu jednak nie wiele pomogło. Radca przyjął

wszystko jako wyraz uwielbienia dla jego maszyny, którą mimo braku czasu przyjechał oglądać, i zabrał go przemocą do stodół. Jednego kółka mu nie darowano, musiał wysłuchać szerokiego traktatu z ust radcy, o nadzwyczajnych pożytkach, tego wynalazku; i mimo że drżał z niecierpliwości, jak gdyby grunt mu się palił pod stopami, dopiero po dłuższej chwili potrafił wyrwać się radcy i uciec.

Cokolwiek rozstrojony pospiechem Oswalda i jego nieuwagą podczas wielce mądrych wywodów, wrócił pan Rüstow do salonu, którego dotąd Lina nie opuściła:

— Nie było co robić dzisiaj z hrabią! — mruknął niechętnie. — Taki był dziwnie roztargniony, na maszynę zaledwie okiem rzucił, a teraz goni na złamanie karku do Ettersberg. Szkoda że jechał tak daleko, aby tak krótko zabawić!

— Ależ wymęczyłeś niemiłosiernie tego hrabiego! — wtrąciła Lina ironicznie. — Przeszło kwandrans wytrzymałeś go przy twojej nieznośnej maszynie, która go tyle właśnie obchodzi, ile mnię śnieg przeszłoroczny! Nie dla niej przecie przyjechał, i nie do Ettersberg spieszy.

— A gdzież, jeżeli wolno spytać? — wytrzeszczył na nią oczy pan Rüstow, pomijając nawet w swojem zdumieniu, epitet wcale nie pochlebny „nieznośna“, którym Lina raczyła maszynę jego obdarzyć.

— Odeszle prawdopodobnie powóz do wsi, a sam poleci do lasu, w pole, w góry; jednem słowem tam, którędy buja w tej chwili rozmarzona Jadwiga!

— Jadwiga? A toż znowu co nowego?! Nie myślisz przecie że...

— Myślę, i bardzo myślę, że Jadwidze sądzono było zostać hrabiną Ettersberg; a że teraz ten los jej nie minie, możesz być najmocniej przekonanym!

— Lina! Tobie już na dobre zaczyna się w głowie mięszać! — radca energicznie i znacząco w czoło zapukał — Oswald i Jadwiga! Ależ oni zawsze się niecierpieli; jedno drugiego znieść nie mogło! Nie! to jest czyste niepodobieństwem!

— No, no, przekonasz się niebawem — panna Lina głową potrząsła znacząco. — Tylko oswój się z tą myślą, żebyś nie miał miny za nadto wystraszonej, gdy zażądają twojego ojcowskiego potwierdzenia i błogosławieństwa! Bez tego się przecie obejść nie może. Hrabia nie zechce czasu tracić, bo i tak już czekał dość długo. Przyznam się, iż Jadzia trochę przesadziła w poświęcaniu się przeszło dwa lata dla matki Edmunda, i w tem uciekaniu od rodzonego ojca, aby tylko nie być narażoną na widywanie się z Oswaldem.

— Jakto? Dla tego tylko wyjechała do Włoch z hrabiną, aby się nie spotykać z Oswaldem? — krzyknął radca w osłupieniu. — Nie zechcesz przecie utrzymywać, że Jadzia jeszcze za życia Edmunda, miała skłonność do...

— O skłonności tu mowy nie było! — przerwała mu panna Lina niecierpliwie — ale o gorącej, namiętnej miłości, która dosyć ich walk śmiertelnych kosztowała. Wprawdzie — mówiła dalej z przekąsem — Jadwiga nigdy mnię nie chciała zaufać, i tajemnicę swoją na dnie serca chowała; nie mniej przeto wiedziałam ile cierpi, i jakie walki stacza ze sobą, aby nie dać się opanować zgubnej wówczas namiętności, i nie złamać lekkomyślnie danego słowa. Nie wątpię, że była by w końcu przyrzeczenia dotrzymała, lecz co by się było stało z nią i z Oswaldem, to Bóg jeden raczy wiedzieć!

Radca złożył ręce nabożnie, i oczy wzniósł w górę. Następnie spojrzał na pannę Linę prawie z uwielbieniem:

— I tyś to wszystko odgadła i wykombinowała bez niczyjej pomocy? Wiesz co Lina? Ty jesteś mądra jak sam nieboszczyk Salamon!

— *Vaut mieux tard, que jamais!* — mruknęła niechętnie panna Lina. — Dość późno atoli przyszedłeś co prawda do tego przekonania.

Rüstow nic już nie odpowiedział, tylko w niezmiernem rozradowaniu serca, że Ulubieńca swojego, Geniusz uniwersalny będzie mógł jako zięcia do łona przycisnąć, porwał tymczasem Linę w objęcia, i puścił się z nią szalonego walca po pokoju.

Gdy wreszcie na poły gniewna, a na poły śmiejąca wyrwała mu się z rąk bez tchu na fotel padając, radca otarłszy również pot kroplisty z czoła odezwał się w te słowa:

— Wszystko ci teraz chętnie przyznaję, na wszystko się godzę. Lino, ale z kądże u licha, mają się tak prędko zjawić tutaj oboje? Choćby nawet hrabia za Jadzią pogonił, nie wie przecie którędy się obraca, tak samo jak i my nie wiemy.

— O to niech cię już głowa nie boli! — roześmiała się Lina — to jego rzecz. Zakochani mają osobliwszy instynkt na tym punkcie. Hrabia nie wie wprawdzie, gdzie jej szukać, a jednak znajdzie ją choćby w lesie, choćby na najwyższym gór szczycie. Powrócą razem! na to mogę ci przysiądz Erychu.

Zapewnienie dane tak uroczyście spełniło się co do joty. Oswald istotnie powozowi kazał we wsi czekać, i sam pieszo popędził. U niego ów instynkt musiał być szczególniej rozwiniętym; gdyż ani chwili się nie namyślając wszedł na ścieżkę, prowadzącą ku pewnemu pagórkowi, który leżał na granicy między lasami do Ettersberg i Brunneck należącemi. I znalazł czego szukał, Zgadł dokąd uda się Jadwiga, skoro wróci do swojej ojcowizny.

Właśnie jaskóleczki przybyły. Chyżym lotem okrążały każdy krzak, każde drzewo, i zdawały się witać ojczyste strony przeciągłym, radośnym szczebiotem. W tym roku atoli wiosna je wyprzedziła. Ziemia dawno już zbudziła się ze snu zimowego, delikatny zielony puszek, niby welon przejrzysty, okrywał drzewa, łąki lśniły gęstą murawą i pierwszemi wiosny kwiatami, rozkoszna woń fiołków rozlewała się w powietrzu, i

złoty blask słońca, całą przyrodę ożywiał i opromieniał.

I dla tych dwojga, siedzących ręka, w ręku na zielonym pagórku, wiosna wreszcie nadeszła. Długo, długo na nią czekać musieli; tem też silniej, tem rozkoszniej czuli szczęście wzajemne w chwili obecnej. Trzy lata temu, Edmund olśniewał ją złotoustą wymową, obsypywał zapewnieniami swojej gorącej miłości... Teraz milczały ich drżące usta; serca przypełnione nie umiały słów znaleść, a jednak czuła Jadwiga, że w tem uroczystem milczeniu tkwi miłość głębsza; miłość tak wielka, że słowa mogłyby ją tylko sprofanować. Czytało się ją wyraźnie w rysach Oswalda; czytało w oczach Jadwigi, tak cudnych, tak przykuwających do siebie, odkąd przybył im jeden wdzięk więcej, odkąd nauczyły się wylewać łzy żalu, łzy tęsknoty.

— Tak długo czekać musiałem na ciebie najdroższa; — wymówił wreszcie Oswald drżącym głosem, wpatrując się z uniesieniem w Jadwigę. — Tak nięskończenie długo! — dodał z wymówką. — I nawet pisać mi nie było wolno! Myślałem już nieraz, żeś o mnię zupełnie zapomniała!

Jadzia przez łzy słodko się uśmiechnęła:

— Temu nie uwierzę, żebyś mógł o coś podobnego mnię posądzać Oswaldzie. Uciekłam z kraju przed słabością własnego serca. Czułam, że jeżeli tu zostanę, nie oprę się twoim prośbom; a przecie winniśmy byli przenieść tę ofiarę pamięci biednego Edmunda; musieliśmy uszanować świeży grób jego, i boleść matki bezmierną. W obec jej krwawych łez, każdy list do ciebie i od ciebie, byłby mi się zbrodnią niemal wydawał. Widzisz w jakim stanie jest dotąd!

— Istotnie, straszliwie zmieniona! Pobyt na południu, jakoś nie wiele jej pomógł.

— Wcale nic! Przeciągnął tylko jej męczarnie. Powraca aby umrzeć na ziemi ojczystej. Tego jestem pewną.

— Wiedziałem, że ciosu tego nie przeżyje. Jeżeli ja tak kochałem Edmunda, czemże dopiero był on dla swojej matki!

— Boleść znieść można. — Jadwiga w zamyśleniu główką potrząsła. — Cios najstraszniejszy czas łagodzi, i ranę zabliźnia; tu atoli coś innego zachodzi. Jej życie podkopuje wieczny niepokój; rozpacz bezdenna. Często byłabym nieledwie przypuściła, iż tem pożerającem uczuciem, są wyrzuty sumienia po... ciężkiem jakiemś przewinieniu.

Oswald zamilkł. Oczy jego ponuro w ziemię utopione, były aż nadto jasną odpowiedzią.

— Na odjezdnem — zaczęła znowu Jadwiga — wymogłeś na mnię solenne przyrzeczenie, że oszczędzę nieszczęśliwej, umierającej kobiecie wszelkich pytań. Dotrzymałam tegoż, i jednem słowem nie dotknęłam nieszczęsnych wypadków, które i mnię dotknęły głęboko. Wszystko co zaszło w Ettersberg przed, i po zgonie Edmunda, jest dla mnię dotąd niezbadaną tajemnicą. Jedno tylko zrozumiałam! Nieszczęsny, sam śmierci szukał, i sam ją znalazł! Dla czego jednak, dla czego? Tego dotąd nie odgadłam. Między nami Oswaldzie nie powinno być tajemnicy; żaden cień wciskać się pomiędzy nas nie może. Musisz mi odpowiedzieć, jeżeli cię teraz zaklnę w imie naszej wzajemnej miłości, i zażądam prawdy. Chcę wiedzieć koniecznie co znaczy ta czarna chmura na twojem wyniosłem czole?

Tu mogła się śmiało odwołać do miłości wzajemnej, i wiedziała, że takiemu zaklęciu oprzeć się nie zdoła. Oswald przycisnął ją silnie do łona:

— Tak, tak Jadwiniu, między nami, ani cieniu nie będzie, tylko wzajemna szczerość, wzajemna ufność bezgraniczna! Teraz atoli nie będę twoich myśli dziewiczych zaprzątał siecią brudnych intryg i zbrodni tajemniczych. Narzeczonej nie mogę tego powiedzieć. Skoro jednak zostaniesz moją żoną, dowiesz się co Edmunda popchnęło w śmierci ramiona, i co matkę jego w grób prowadzi. Nie chcę aby kir żałobny rzucał cień złowrogi, na pierwszą jasną chwilę szczęścia naszego. Gdyś mi się zjawiła wśród śnieżnej zamieci — prawdziwe wiosny objawienie! — nie przestałem marzyć o takiej chwili; chociaż myśli te w ówczas odtrącałem od siebie jak słodką, upajającą truciznę; pokonywałem to uczucie całą siłą charakteru, a jednak pokonać nie mogłem! Wtedy anim przypuścił, żeby kiedy mogły się urzeczywistnieć moje szalone marzenia.

Jadzia czule mu w oczy spojrzała. Z pomiędzy łez, których tyle, ostatniemi czasami wylała, wykwitł dawny, figlarny uśmieszek, i zaigrał na jej różanych usteczkach, żłobiąc obok tychże dwa rozkoszne dołki:

— Dla czegoż wątpiłeś najdroższy! Przecież powiedziałam ci odchodząc z tąd przed trzema laty wśród mgły, deszczu i wichru: „że jak w roku tak i w życiu każdem wiosna nadejść musi“... i oto dla nas się zaczyna!

Wesoły szczebiot jaskółek, i piosnka miłośna skowronka wysoko w obłokach zawieszonego, wtórowały tym słowom. Jak ziemia pod gorącemi słońca promieniami, tak i tych dwoje serc po długiej a bolesnej walce, święciły pierwszy dzień wiosny; dzień szczęścia, dzień słodkich na przyszłość nadziei.

KONIEC.

☞ *Do dzisiejszego numeru dołączamy w nadzwyczajnym dodatku arkusz 5. najnowszego dramatu Mieczysława Schmitta pod tytułem: „Biała gołąbka.“*

Redakcja.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: W. Maniecki.

BIAŁA GOŁĄBKA

DRAMAT W CZTERECH AKTACH

napisał MIECZYSŁAW SCHMITT.

(Ciąg dalszy).

ARTUR.

Oktawie! Nie mogę się już nawet i gniewać na ciebie. Ty kochasz... kochasz Emmę. Czy sądzisz żem o nią zazdrośny? Weź ją sobie. Uczucia jej są tak słabe jak i ona cała. Czy ja ją poprowadzę do ołtarza czy ty, nie rozróżni nawet, byleby tylko była prowadzoną.

OKTAW.

Za siebie nie odpowiem, dla Emmy jesteś niesprawiedliwym... a dla tej, którą kochasz, chcesz być katem. Miłość łączy ją z innym człowiekiem, ma zostać jutro jego żoną, a ty wślizgujesz się pomiędzy nich, wzniecasz zarzewie zazdrości w sercu kochanka i wdzierasz się gwałtem w uczucia kobiety. Wprawnem twem okiem przeniknąłeś jej najskrytsze myśli. Tyś odgadł, że miłość jej dla tego człowieka nie jest tem uczuciem głębokiem, jakie ty byś potrafił wzbudzić w jej sercu... Cofnij się w stecz... spojrzyj w przyszłość i zapytaj swego własnego sumienia, czy dziewcze to może stanąć obok ciebie? Czem ci więc będzie?...

ARTUR (rzucając się w fotel).

Czem?... A!... człowieku, co za słowa!... (zakrywa twarz rękoma).

OKTAW.

Arturze, posłuchaj mnie... Dzisiaj czas jeszcze... Jutro już może będzie zapóźno...

ARTUR (wstając nagle).

Nie... tyś szalony! Jak możesz podsuwać mi myśli niegodne uczciwego człowieka? A gdybym ją nawet i kochał? Czy sądzisz... Lecz wszystko to wymarzyłeś sobie... i doprawdy niepoznaję w tobie tego zimnego i wiecznie szydzącego Oktawa!... Życzę ci dobrej nocy!

OKTAW.

Szyderstwo ustaje tam gdzie się poczyna uczucie...

ARTUR.

Więc ty ją kochasz?

OKTAW.

Nie... lecz się nad nią lituję...

ARTUR (siadając w fotel).

Litość, to słowo zbyt wiele określające...

OKTAW.

A czy ty je rozumiesz? Nie... Bo gdybyś je pojmował, nie stawałbyś na drodze tego biednego żyjątka, chyba na to tylko, by je zdeptać... Żegnam cię!... (wychodzi i spotyka w drzwiach Gómnickiego i mówi doń szybko) Przyprowadź pan tu natychmiast swą córkę! Panie są już tak pomęczone, że dłużej nie mogą czuwać. (wychodzi a Gómnicki kiwa głową potakując i mówi doń) Dobrze!

Scena II.

ARTUR, GÓMNICKI.

GÓMNICKI (patrząc na Artura zamyślonego).

(na stronie) Przecież sobie przypomnieli że i moja córka jest na świecie. (głośno z ukłonem) Pan hrabia zbyt się męczy tem ciągłem czuwaniem.

ARTUR (spostrzegając go).

Bynajmniej... Lecz cóż tu pana sprowadza?...

GÓMNICKI.

Nic... Myślałem tylko, że się może na co przydam,

ARTUR.

Dziękuję panu, w tej chwili nie.

GÓMNICKI (nieśmiało).

Możebym mógł zastąpić pana hrabiego... koniecznie potrzeba przespać się choć parę godzin.

ARTUR (niecierpliwie).

Nie... pozostanę tutaj... Czy masz pan jeszcze co do powiedzenia?

GÓMNICKI.

Miałbym tylko jeszcze maleńką prośbę do pana hrabiego... Panna hrabianka i Leonia muszą być już bardzo znużone... możeby pan hrabia pozwolił, by moja córka...

ARTUR (na stronie).

Sprawka Oktawa... (głośno) I owszem. W tem nieszczęściu zapomniałem, że nadużywamy sił tych pań... Proś pan więc córkę, ażeby była tak dobrą i jutro...

GÓMNICKI.

Dziś, zaraz ją przyprowadzę...

ARTUR.

Jakto... więc nie spi jeszcze?...

GÓMNICKI.

Jeszcze nie jest tak późno... Otóż niech pan hrabia namówi pannę Emmę by się położyła, Leonia może tu wypocząć... no a moja córka zastąpi ją przy pani hrabinie. Idę i wnet ją tu przyprowadzę (wychodzi na lewo).

ARTUR (sam, wstając).

Wszystko się przeciw mnie sprzysięga... Oktaw mnie odgadł... a i ten człowiek coś knuje (chodzi) Lecz czegoż się mam obawiać? Kocham ją... o... tak... kocham... Istota ta anielska zawładnęła całą moją duszą,

sercem, wszystkiem. Wszak jej to mogę powiedzieć... (zwraca się ku pierwszym drzwiom na prawo) wszak ją mogę nazwać moją żoną! Moją żoną? (składa ręce na piersiach i zamyśla się).

Scena III.

ARTUR, EMMA.

EMMA (wchodzi cicho).

Arturze... co tobie?...

ARTUR (przychodząc do siebie).

To ty Emmo?

EMMA.

Oczekiwałeś kogo innego?

ARTUR.

Zkąd takie przypuszczenie... tak tu ciemno, że cię nie poznałem (idzie do drzwi i pociąga taśmę od dzwonka).

EMMA.

Co czynisz?

ARTUR.

Każę podać światło (do służącego, który ukazuje się w drzwiach) Pozapalaj świece (służący zapala i wychodzi) Jakże się ma ciotka?

EMMA (idąc ku oknu).

Dzięki Bogu znacznie lepiej.

ARTUR.

Idźże więc droga Emmo do swego pokoju... potrzeba spocząć.

EMMA (patrząc przez okno).

Jaka śliczna i pogodna noc.

ARTUR.

Lecz zawsze noc... a jesteś zapewne strudzona... więc...

EMMA (odwracając się).

Mam odejść?...

ARTUR (biorąc ją za rękę).

Jakim tonem to mówisz? Przecież mnie nie posądzasz, że cię chcę z tąd oddalić...

EMMA.

Oddalić?...

ARTUR (poruszając rękę).

Nie chwytajże tak za słowa...

EMMA.

Arturze uważam, że nigdy mych słów nie rozumiesz. Nie widziałam cię prawie cały dzień...

ARTUR (z rezygnacją).

Stęskniłem się również za tobą...

EMMA.

Czy tylko mówisz prawdę?... Bo widzisz nie wiem czemu, lecz zdaje mi się, że mama źle postępuje każąc się nam łączyć.

ARTUR (z pewną radością).

Może mnie nie kochasz?

EMMA.

Dla czegoż bym cię miała nie kochać?

ARTUR.

Tak, zapewne... Równie też zapytam, dla czego bym ciebie nie miał kochać?

EMMA.

Tyś taki poczciwy...

ARTUR.

A ty tak łagodna.

EMMA.

Moglibyśmy być szczęśliwymi... (wzdycha) Lecz czy będziemy?...

ARTUR.

Posłuchaj no Emmo... Mówmy bez ogródek... Matka twoja ułożyła nasz związek, nie pytając się nas wcale czy się na to zgadzamy lub nie... Sami nie wiedząc jak przystaliśmy jednak na to.

EMMA.

Z mojej strony wiedziałam co czynię...

ARTUR.

No... i ja wiedziałem... Ale się pomyliłem...

EMMA (żywo).

Jakto?...

ARTUR.

Myślałem że... że serce twe wolne... że z czasem potrafię je pozyskać...

EMMA.

Ależ ono do ciebie tylko należy...

ARTUR (ze zgrozą).

Więc ty mnie kochasz?...

EMMA.

Czy po raz pierwszy odpowiem tak? Lecz Arturze co tobie... zdajesz się być tem zmartwiony!

ARTUR.

Zmartwiony... To radość maluje się na mej twarzy... Patrz uśmiecham się do ciebie... Lecz idź moja droga... idź... odpocznij... Noc już późna... Matka ma się lepiej... ja cię... odprowadzę...

EMMA.

Czy tylko będę mogła zasnąć...

ARTUR (biorąc świecę).

Zaśniesz... z pewnością... Po tak długiem czuwaniu sen wnet przychodzi... i...

EMMA (przerywając).

Dobrze, więc posłucham twej rady (idzie za nim i nagle staje) Lecz Leonia sama zostanie...

ARTUR.

Sama... nie... powrócę tu...

EMMA.

Ty, sam z nią?...

ARTUR.

Ależ nie ja sam... Lecz prawda, niepowiedziałem ci, że kazałem przyjść Annie...

EMMA.

Bardzoś dobrze uczynił... Biedna Leonia taka zmęczona. Zresztą wypada już odesłać ją do domu.

ARTUR.

A to dlaczego?... Ciotka tak do niej przywykła...

EMMA.

I polubiła ją nawet bardzo. Tylko z jej rąk przyjmuje lekarstwo i Leonii usługa jest jej najmilszą.

ARTUR.

Jakże się cieszę z tego obrotu rzeczy, bo ciotka była dla niej niedobrą...

EMMA.

Lecz zmierzałam do czego innego. Ślub Leoni ma się odbyć pojutrze. Potrzeba więc koniecznie, by już wracała do domu. Musi się przecież przygotować... zresztą wypocząć... A cóżby jej narzeczony powiedział. że tak zmizerniała? A ona go tak kocha...

ARTUR (ponuro).

Czy ci o tem mówiła?...

EMMA

Czy raz? Leonia opowiadała o swoim... a ja o moim narzeczonym. Lecz widzę, że ten przedmiot rozmowy jest ci niemiły...

ARTUR.

Niemiły? (uśmiecha się) Owszem... bo wiesz... że dla jej ojca, którego lubię... Lecz chodźmy... (idzie ku drzwiom drugim na prawo).

EMMA.

Chodźmy...

ARTUR (zwracając się).

Czy ona ci to z pewnością mówiła, że go kocha?

EMMA.

Ależ z wszelką pewnością... Lecz Arturze cóż ciebie to może obchodzić?

ARTUR.

Mnie? No, naturalnie, że nic... Prosta ciekawość... bo wiesz, ktoś mi mówił... Lecz chodźmy...

EMMA (stojąc).

Cóż ci mówiono?

ARTUR.

Nic... podobnoś że go nie kocha, a pojmiesz, że w takim razie nie powinna iść za niego... Chodźmy (otwiera drzwi i wychodzi).

(EMMA (wychodząc za nim).

Mylą się! Ona go kocha (wychodzi).

Scena IV.

GÓMNICKI, ANNA (wchodzą drzwiami na lewo).

GÓMNICKI (idąc naprzód i rozglądając się).

Nie ma już nikogo.

ANNA.

Jak tu czegoś straszno!

GÓMNICKI.

Straszno, w takim pięknym pałacu? Może tylko trochę za ciemno w tym pokoju...

ANNA.

Tyle świec się pali... Lecz nie o to idzie... tak tu cicho... ponuro...

GÓMNICKI.

Dzieciństwo! Chciałabyś może, żeby w pokoju obok chorego było gwarno i wesoło jak na weselu? No nie bój się... Nie zostaniesz tu przecież sama... lecz z Leonią.

ANNA.

A gdzież Leonia?

GÓMNICKI.

W tamtym pokoju. Biedaczka jest już tak znużona, że musi ją koniecznie ktoś namówić, by tu weszła odpocząć...

ANNA.

Idę więc (zwraca się ku pierwszym drzwiom na prawo).

GÓMNICKI.

Tylko powoli, żebyś hrabiny nie zbudziła... A pamiętaj namów koniecznie Leonię, by wyszła. Tu nie ma nikogo... może się wygodnie przespać.

ANNA.

O, namówię ją z pewnością (wychodzi).

GÓMNICKI (sam).

Jakoś im tu nie służy powietrze. Hrabina zachorowała... nudzą się... Nie będą tu długo popasać... Dobrze że choć sobie przypomnieli iż mam córkę. Bardzo mi to było nieprzyjemnie zawsze i wszędzie nauczyciel i jego córka na pierwszem miejscu (patrzy w ogród) Noc jasna jak dzień. Lecz cóż to? ktoś chodzi... (zagląda) Coś tak jakby Karol... Czego on tu chce o tej porze? Lecz prawda, zapomniałem... zakochany do szaleństwa, a już kilka dni nie widział Leoni, więc myśli że ją bodaj przez okno zobaczy... (po chwili) Biedny chłopiec! Leonia nie dla niego... Anusia co innego... Ho... ho... dobrze ja widzę, iż córka profesora wpadła już hrabiemu w oko... Daj tylko Boże, żeby się to źle nie skończyło... (patrzy w ogród) Pójdę chyba i namówię, by lepiej poszedł spać... jak żeby się tu kręcił jak ćma. (wychodzi na lewo).

Scena V.

LEONIA później ARTUR.

LEONIA (sama, wchodzi i rozgląda się).

Nie ma nikogo... a tyle świateł... Taką ich mnogość widziałam dotąd tylko w kościele... (rozgląda się) Tak oświetlony jak pięknie wygląda ten pokój. A... okno otwarte!... (biegnie ku oknu) Tam u hrabiny powietrze tak ciężkie, duszne... a... oddycham... (patrzy w ogród) Noc... cisza... to czas spoczynku... Spoczynku (patrzy na pokój) Czy tu w tym pokoju... wśród tych świateł Gdybym usnęła a potem się nagle przebudziła... zdawałoby mi się... Boże... że chyba umarłam... (biegnie i gasi świece, zostawiając tylko jedną) Tak... Niechaj tylko łagodne światło księżyca przyświeca... (wraca do okna i opiera się o ramę) Noc... Przy wielu jej urokach, ma ona w sobie przecież coś strasznego!... Te światła i cienie to niby dziwne mamidła... Im więcej się w nie wpatrujemy... tem coraz inne przybierają kształty... i zdaje się chwilami,

iż to nasza przyszłość przesuwa się w mglistych obrazach, których pojąć niestety nie możemy. Aż sen dobroczynny zmróży nam oczy, a wesoła jutrzenka rozprószy nocne widziadła... (ogląda się) Sen? Jestem senna... (idzie ku fotelowi i siada) Tu... (wstaje) Nie... chciałabym blisko okna... powietrza... (przesuwa fotel pod okno i siada obrócona twarzą na pół do publiczuości, na pół ku prawej stronie) A jednak, ta noc jest tak piękna! W noc taką nie chciałabym umrzeć... Wszystko wydaje się urocze... niebo i ziemia w takiej ze sobą harmonii jak barwna tęcza... (zamyśla się) Tyle już dni nie byłam w domu... Biedny ojciec... stęsknił się pewnie za mną... Ojcze... ja... wrócę... wrócę... do tego naszego domku... do ciebie... wrócę... (zasypia a silny promień księżyca oświetla ją).

ARTUR (wchodzi z prawej i staje uderzony jej widokiem)

Usnęła!... (patrzy na nią a po chwili zwraca się i bierze za klamkę ode drzwi) Niech spi spokojna!... (ogląda się i znowu patrzy) Raz jeszcze niech tylko spojrzę na ciebie... Leonio!.... o, ja cię tak kocham (postępuje naprzód parę kroków — lecz cofa się szybko ku drzwiom).

LEONIA (przez sen).

Ojcze...

ARTUR (staje).

Ona mówi (słucha).

LEONIA.

Czy... on... mnie kocha?... Nie...

ARTUR (podbiega szybko i klęka).

O! chyba w niebie ujrzę zjawisko tobie podobne! (Leonia budzi się i patrzy nań bezwiednie) Istoto obleczona w białą szatę aniołów... Tyżeś to... czy twój duch? Lecz słuchaj... Pierś ma wzburzona... serce przepełnione uczuciem... słowa cisną się na usta, a wymówić ich nie mogę... Tylko to jedno... jedyne... że cię kocham!

LEONIA (wstaje).

Słyszę szmer strumyka... słyszę jęk tych kwiatów a siła jakaś trzyma mnie w uwięzi...

ARTUR (wstaje).

Aniele słuchaj, to siła miłości... a pomimo potęg całego świata... kocham cię i ty mnie kochasz (obejmuje ją) O, tak dziewcze, choć usta twe milczą... serce twoje mówi za ciebie... Pójdź w moje objęcia.. rzuć wszelkie widma przeszłości... Tu... przy mnie... na mojem łonie... wiecznie złączeni pójdziemy tą drogą życia... miłości i szczęścia bez granic... O, droga, ubóstwiona istoto... pocałunek ten niechaj będzie przysięgą!...

LEONIA (wyrywając się).

Przysięgą?... i on... Karol przysięgał... Boże co słyszę... co się ze mną dzieje...

ARTUR (chcąc ją objąć).

Leonio... to ja... O nie wypieraj się... bo tego nie zdołasz... Miłość nasza jest wyższą po nad wszystko!...

LEONIA (cofając się).

Miłość nasza?... Ten głos... (nagle patrząc nań) Hrabia! (zakrywa oczy).

ARTUR.

Hrabia!... Straszne słowo!... Że głupi motłoch widzi w niem coś więcej po nad czczy tytuł, dlatego ty istota wyższa miałabyś kaleczyć swe własne serce i moje zabijać. A gdybym był nawet i mocarzem całego świata, przedewszystkiem byłbym tylko człowiekiem kochającym cię nad życie, nad Boga... nad wszystko!.. Leonio... dla czego zakrywasz oczy? dla czego zasłaniasz mi niebo, w którem radbym wyczytać słowo, którego nie chcą wymówić twoje usta... Leonio popatrz na mnie...

LEONIA.

(podnosi zwolna głowę, składa ręce na piersiach i patrzy nań).

ARTUR.

Dla czego ten wzrok niepewny... pytający A... rozumiem cię... O, droga, czyż mogłaś wątpić? Czyż mogłaś sądzić, że miłość ma nie jest równie czystą jak biała gołąbka, której miano nosisz? Gołąbko moja... wyrzeknij słowo... a jutro... nazwę cię żoną!

LEONIA.

Żoną?... (nagle idzie ku oknu, opiera się o ramę i patrząc w ogród, mówi) Patrz hrabio... Widnokrąg zakryty cieniami nocy... Tu księżyc rzuca jeszcze ostatnie promienie... a tam już się wynurza... zazdrośna jutrzenka... Rada by rzucić światło na te cienie nocne... aż póki nie zejdzie dumne słońce i silnym swym promieniem nie zepchnie wszystkiego w wieczne zapomnienie. Jutro zostanę żoną... (jakby do siebie) Ileż się mieści w tem jednem słowie... czy prawdy jasnej... czy tajemnic nocy.

ARTUR.

Tylko prawdy jasnej, czystej jak rosa poranna... Dwoje istot splecionych uściskiem miłości, dwie dusze zlane w jedną świętą całość... dwa serca bijące jednem silnem tętnem... to obraz naszej przyszłości.

LEONIA.

Naszej przyszłości?

ARTUR.

Lecz na Boga żywego... Leonio nie zostaniesz przecież żoną Karola...

LEONIA.

Hrabio... patrz jutrzenka już się rumieni...

ARTUR.

A... nie... nigdy... Słońce się chyba zakrwawi... świecąc wam do ołtarza... Kobieto... ty skłamiesz przed Bogiem...

LEONIA (odstępując od okna).

Hrabio!

ARTUR (przerywając).

Nie wymawiaj tego przeklętego słowa... To ono nas dzieli... Leonio... zaklinam cię jednak na wszystko co ci święte... na Boga, na siwy włos twego ojca...

LEONIA.

Mego ojca? A ja o nim zapomniałam...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z drukarni narodowej W. Manieckiego.